Jak obudzić anachronicznych polityków: manifest wolności

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Tekst stanowi manifest współczesnego polskiego libertarianizmu, wyrastającego z negatywnych doświadczeń z opresyjnym aparatem państwowym. Autor analizuje ewolucję postaw wolnościowych, wskazując na konieczność odejścia od anachronicznego etatyzmu na rzecz relacji opartych na dobrowolności. W artykule przedstawiono konkretne narzędzia legislacyjne, takie jak klauzula abolicyjna, reguła antysubstytucji oraz bon oświatowy, które mają na celu realne ograniczenie biurokracji i przymusu fiskalnego. Proponowane reformy obejmują również deregulację zawodów oraz rynkowe podejście do ochrony środowiska poprzez koncepcję deliktu ekologicznego. To wezwanie do budowy państwa szanującego suwerenność obywatela i promującego odpowiedzialność cywilną zamiast urzędniczej kurateli.

This text is a manifesto of contemporary Polish libertarianism, stemming from negative experiences with an oppressive state apparatus. The author analyzes the evolution of libertarian attitudes, pointing to the need to move away from anachronistic etatism in favor of voluntary relationships. The article presents specific legislative tools, such as the abolition clause, the anti-substitution rule, and the educational voucher, which aim to significantly reduce bureaucracy and fiscal coercion. The proposed reforms also include the deregulation of professions and a market-based approach to environmental protection through the concept of ecological tort. This is a call for building a state that respects citizen sovereignty and promotes civil liability instead of bureaucratic guardianship.

Artykuł analizuje specyfikę polskiego libertarianizmu jako zjawiska generacyjnego i kulturowego, a nie tylko akademickiego. Wbrew stereotypom, polski libertarianin to często osoba rozczarowana transformacją, która doświadczyła na własnej skórze ciężaru państwowej biurokracji i braku realnej wolności. Artykuł eksploruje socjologiczne korzenie tego ruchu, wskazując na jego niejednorodność – od młodych, zaradnych mężczyzn po kobiety, które w

państwie widzą opresora. Autor argumentuje, że polski libertarianizm, zakorzeniony w traumach komunizmu i transformacji, jest bardziej reakcją na anachronizm polityczny niż spójnym programem. Kluczowe jest zderzenie z pytaniem o wspólnotę, gdzie młodzi libertarianie kwestionują solidarność narzucaną przez państwo, opowiadając się za dobrowolnymi formami współpracy i wzajemnej pomocy. Artykuł stawia tezę, że przyszłość libertarianizmu w Polsce zależy od jego zdolności do stania się językiem doświadczeń pokolenia, które odczuwa gniew na biurokratyczny absurd i fałszywą solidarność państwa.

SŁOWA KLUCZOWE

libertarianizm | klauzula abolicyjna | bon za uczniem | delikt ekologiczny | reguła antysubstytucji | przymus państwowy | deregulacja zawodów | wolność rynkowa | instynkt samozachowawczy | dobrowolność | reforma edukacji | biurokracja | odpowiedzialność cywilna | standardy wynikowe | suwerenność jednostki

Młode pokolenie: taran rozbijający skostniały system

Kim jest współczesny polski libertarianin? Nie ma munduru, nie nosi sztandaru i często nie ma nawet partii, która chciałaby go reprezentować. Ma za to doświadczenie wypalone w życiorysie, które można streścić jednym zdaniem: władza zawsze była ciężarem, nigdy wsparciem. Ta gorzka mądrość nie pochodzi z lektury Rothbarda, lecz z kolejek do urzędu, z absurdów fiskusa i z dojmującego poczucia, że państwo traktuje obywatela jak wiecznego podopiecznego, który nigdy nie dorośnie do samodzielności.

Libertarianizm w Polsce to prąd generacyjny, nie akademicki. W latach dziewięćdziesiątych nosił garnitury Balcerowicza i miał twarz „planu", który obiecywał bilet do normalności. Młodzi tamtego pokolenia uwierzyli, że wolność rynkowa jest synonimem europeizacji. Dwie dekady później okazało się, że obiecana wolność zamieniła się w labirynt koncesji, a rynek w poligon dla tych z lepszymi znajomościami. Dzisiejszy libertarianizm rodzi się więc na gruzach tego rozczarowania; nie jako ideologia importowana zza oceanu, lecz jako instynkt samozachowawczy młodych, którzy widzą, że system gryzie ich, zanim jeszcze zdążą wejść na ring.

Socjologicznie to grupa zaskakująco niejednorodna. Z jednej strony mamy młodych mężczyzn, którzy dorastali w cieniu „kultury kombinowania" i wchodzą w dorosłość z przekonaniem, że jedynym prawdziwym kapitałem jest własna zaradność. Z drugiej – coraz liczniejsze młode kobiety, które w państwie widzą oprawcę przebranego w płaszcz opieki. Zmusza je do składek, których nigdy nie odzyskają, dyktuje,

jak mają rodzić i wychowywać dzieci, a gdy potrzeba realnej pomocy, okazuje się bezradne. Libertarianizm staje się dla nich nie tyle filozofią polityczną, ile językiem samoobrony.

Na tle Europy polski libertarianizm ma swoją unikalną specyfikę. Nie wyrasta z tradycji „buntów podatkowych" jak w USA ani z radykalnej sekularyzacji jak we Francji. Jego korzenie tkwią w dwóch narodowych traumach: komunizmie i transformacji. Pierwsza nauczyła, że państwo może odebrać wszystko w imię „dobra wspólnego". Druga pokazała, że wolność można zadeklarować w świetle jupiterów, a potem po cichu reglamentować ją w tysiącach ustaw. Dlatego dla młodych Polaków libertarianizm jest bardziej reakcją niż programem – to bunt przeciw anachronicznym politykom, którzy wciąż wierzą, że społeczeństwem da się zarządzać metodą dekretu.

Czy jest to jednak prąd świadomy, czy tylko manifest wyobcowania? Prawda, jak zwykle, leży pośrodku. Intelektualna awangarda rzeczywiście sięga do klasyków – czyta Rothbarda, Hayeka, Nozicka, uczestniczy w seminariach Instytutu Misesa. Dla nich libertarianizm to spójny system filozoficzny. Jednak dla większości młodych to raczej egzystencjalny krzyk sprzeciwu: „nie zgadzam się, żebyś traktował mnie jak swoją własność". Ten sprzeciw nie zawsze prowadzi do konstruktywnego programu, ale ma potężny potencjał kulturowy. To w tej przestrzeni rodzi się partyzantka memów, haseł i internetowych kampanii, które, choć pozbawione siły partii, potrafią zawstydzić skostniały parlament.

Najciekawsze jest jednak zderzenie z pytaniem o wspólnotę. Krytycy oskarżają libertarianizm o promowanie atomizacji i triumfu egoizmu. Młodzi libertarianie odpowiadają na to z rozbrajającą szczerością: to nie my rozbiliśmy wspólnotę, to państwo zrobiło to za nas. System, który zabiera połowę dochodu, by potem rozdawać go w formie zasiłków, nie buduje solidarności, lecz tresuje klientelę. System, który w imię bezpieczeństwa odbiera wolność, nie chroni, tylko infantylizuje. Wspólnota, która wyrasta z wolnych wyborów – z sąsiedztwa, przyjaźni, kooperatywy, crowdfundingu – jest nieskończnie trwalsza niż ta wtłoczona w ramy ustawy.

Pojawia się więc pytanie zasadnicze: czy libertarianizm w Polsce to margines, czy zalążek nowego, potężnego nurtu? Odpowiedź zależy od tego, czy młodzi uznają go za język własnych doświadczeń. Jeśli pozostanie „amerykańskim importem", zginie w niszy. Jeśli jednak stanie się leksykonem ich codziennego gniewu – gniewu na biurokratyczny absurd, na podatkową duszność, na fałszywą solidarność państwa – może urosnąć do rangi prądu kulturowego, który zmieni Polskę.

W tym sensie libertarianizm nie jest ruchem wypranym z wartości, lecz próbą odbudowy wspólnoty na jedynym zdrowym gruncie: dobrowolności. To powrót do prostej intuicji, że człowiek nie potrzebuje nadzorcy, by być dobrym sąsiadem, że nie trzeba dekretu, by być lojalnym przyjacielem, i że żadna partia polityczna nie ma monopolu na troskę o drugiego człowieka.

Klauzula abolicyjna przenosi ciężar dowodu na państwo

Zacznijmy od adresu, który nie potrzebuje znaczków pocztowych. Mówimy do Ciebie, studentko pierwszego roku, która patrzysz, jak państwo zjada Twoją przyszłość na śniadanie i jeszcze pyta, czy smakowało. Mówimy do Ciebie, młody programisto, który w tydzień potrafisz napisać to, co ministerstwo zamawia za miliony i lata. Mówimy do Was obojga, bo kiedy przestaniecie się bać własnej wolności, politycy, choćby nie wiem jak twarde mieli skorupy, zaczną słyszeć Wasze kroki. Te „karty operacyjne” to nie jest kolejny raport do szuflady, lecz moduły, które można drukować, czytać na głos, podkładać pod projekty ustaw i, co najważniejsze, wkładać do języka codziennych sporów. Prowadzę jedną linię stylistyczną: bez wymigiwania się, bez list kontrolnych, za to z minimalnymi klauzulami prawnymi, które wgryzają się w samą materię prawa.

Wszystko zaczyna się od przekonania, że wolność to zdanie napisane tak, by nawet najbardziej zblazowany urzędnik musiał się zatrzymać. Klauzula abolicyjna, czyli zasada systemowego zwijania przymusu, brzmi w wersji krótkiej: „W razie kolizji rozwiązań ustawowych pierwszeństwo ma to, które w sposób weryfikowalny redukuje zakres przymusu państwowego; wyjątki dopuszczalne wyłącznie dla powstrzymania trwającej agresji wobec osoby lub mienia po wykazaniu braku alternatywy dobrowolnej o porównywalnym skutku i mniejszej ingerencji”. Ten jeden akapit odwraca ciężar dowodu. Do tej pory to obywatel prosił o wolność, odtąd to państwo musi prosić o pozwolenie na przymus. Dodaj do tego regułę antysubstytucji i wsuń ją jak klin między paragrafy: „Zakazuje się zastępowania jednej formy przymusu inną w celu pozornego zmniejszenia ogólnego ciężaru; nowa danina nie może być wprowadzana w zamian za kosmetyczną redukcję innej, a licencja uznaniowa nie może zastąpić zniesionego zakazu”. Gdy polityk spróbuje sprzedać Ci „liberalizację”, która wraca innymi drzwiami jako „opłata modernizacyjna”, będziesz mieć słowo, które unieważnia ten trik.

Ekologia wymaga precyzji skalpela, a nie malowania fresków na murach. „Kodeks deliktu ekologicznego” powinien zaczynać się od definicji szkody nie jako statystycznej mgły, lecz jako naruszenia tytułu własności konkretnej osoby. „Emisja powodująca istotne pogorszenie stanu zdrowia lub mienia podlega roszczeniu o zaniechanie i pełnej kompensacji; tytuł do roszczenia przysługuje właścicielowi ciała, nieruchomości lub ruchomości, a pozwolenie administracyjne nie stanowi immunitetu”. Dopisz do tego wymóg jawności danych środowiskowych na żądanie strony oraz prawo do roszczeń zbiorowych, gdy szkoda jest rozproszona. Ten język nie jest poetycki i bardzo dobrze, bo ma być skuteczny. Zamiast mglistej „walki o klimat” dostajesz narzędzie, które pozwala nazwać trucie po imieniu i wygrać sprawę w imieniu własnych płuc, domu i ogrodu.

Szkolnictwo trzeba wyrwać z gabinetu naczelnego architekta i oddać w ręce lokalnych budowniczych. Model „bonu za uczniem” to mniej ideologia, a bardziej higiena finansowania publicznego, w którym pieniądze

płyną za wyborem, a nie za budynkiem. Państwowa pozostaje wyłącznie miara wynikowa, nie recepta na metody nauczania. W wersji minimalnej zapis brzmi: „Środki publiczne przeznaczone na edukację pozostają własnością ucznia do czasu ich realizacji w wybranej jednostce; państwowe standardy dotyczą wyłącznie egzaminów zewnętrznych, a nie metod nauczania; jawność wyników jednostek eduk

Szkoda ekologiczna: naruszenie granic prawa własności

Wszystko zaczyna się od przekonania, że wolność to zdanie napisane tak precyzyjnie, by zatrzymał się nad nim nawet najbardziej zblazowany urzędnik. Klauzula abolicyjna, w swojej najkrótszej formie, jest właśnie takim zdaniem. „W razie kolizji rozwiązań ustawowych pierwszeństwo ma to, które w sposób weryfikowalny redukuje zakres przymusu państwowego; wyjątki dopuszczalne wyłącznie dla powstrzymania trwającej agresji wobec osoby lub mienia po wykazaniu braku alternatywy dobrowolnej o porównywalnym skutku i mniejszej ingerencji”. Ten jeden akapit odwraca grę. Do tej pory to obywatel musiał żebrać o wolność, odtąd to państwo musi błagać o przywilej użycia przymusu. Dołóż do tego regułę antysubstytucji i wbij ją jak stalowy klin między paragrafy: „Zakazuje się zastępowania jednej formy przymusu inną w celu pozornego zmniejszenia ogólnego ciężaru; nowa danina nie może być wprowadzana w zamian za kosmetyczną redukcję innej; licencja uznaniowa nie może zastąpić zniesionego zakazu”. Kiedy polityk spróbuje sprzedać ci „liberalizację”, która po cichu wraca jako „opłata modernizacyjna”, będziesz miał w ręku słowo unieważniające ten trik.

Prawdziwa ekologia wymaga precyzji skalpela, a nie malowania fresków na ścianach ministerstwa. „Kodeks deliktu ekologicznego” musi zaczynać się od definicji szkody nie jako statystycznej mgły, lecz jako brutalnego naruszenia tytułu własności konkretnej osoby. „Emisja powodująca istotne pogorszenie stanu zdrowia lub mienia podlega roszczeniu o zaniechanie i pełnej kompensacji; tytuł do roszczenia przysługuje właścicielowi ciała, nieruchomości lub ruchomości, a pozwolenie administracyjne nie stanowi immunitetu”. Uzupełnij to wymogiem jawności danych środowiskowych na żądanie strony i prawem do roszczeń zbiorowych, gdy szkoda jest rozproszona. Ten język nie jest poetycki i bardzo dobrze. On jest skuteczny. Zamiast abstrakcyjnej „walki o klimat” dostajesz twarde narzędzie, które pozwala nazwać trucie po imieniu i wygrać sprawę w imieniu własnych płuc, domu i ogrodu.

Szkolnictwo trzeba siłą wyrwać z gabinetu naczelnego architekta i oddać w ręce lokalnych architektów edukacji. Model „bonu za uczniem” to w mniejszym stopniu ideologia, a w większym higiena finansowania publicznego. Pieniądze płyną za wyborem dziecka, nie za budynkiem, a państwo weryfikuje jedynie wyniki, nie narzuca metod. W wersji minimalnej zapis brzmi: „Środki publiczne przeznaczone na edukację pozostają własnością ucznia do czasu ich realizacji w wybranej jednostce; państwowe standardy dotyczą wyłącznie

egzaminów zewnętrznych, a nie metod nauczania; jawność wyników jednostek edukacyjnych stanowi warunek udziału w programie”. W jednej ramie prawnej mieszczą się szkoły społeczne i prywatne, kooperatywy rodzicielskie, tutoring i hybrydowe modele nauczania. Politycy będą krzyczeć, że „dzieci zostaną same”. Odpowiedz im, że dzieci już dziś są same, gdy trafiają do szkoły, która uczy posłuszeństwa zamiast kompetencji. Bon nie jest magiczną różdżką, ale jest aktem wyjęcia rąk decydenta z twojej kieszeni i twojej głowy.

Deregulacja zawodów wymaga testu realnego ryzyka, a nie przeglądania katalogu urzędniczych łask. Zasada jest tak trywialna, że aż rewolucyjna: „Licencje dopuszcza się wyłącznie w działalnościach o bezpośrednim, wysokim i prawdopodobnym ryzyku nieodwracalnej szkody dla osoby; pozostałe działalności podlegają reżimowi zgłoszenia

Bon edukacyjny: rynkowa higiena finansowania oświaty

Ekologia wymaga precyzji, a nie malowania fresków na murach. Prawdziwy „kodeks deliktu ekologicznego” musi zaczynać się od definicji szkody nie jako statystycznej mgły, lecz jako naruszenia tytułu własności konkretnej osoby. Jego pierwszy artykuł powinien brzmieć: „Emisja powodująca istotne pogorszenie stanu zdrowia lub mienia podlega nakazowi zaniechania i pełnej kompensacji; tytuł do roszczenia przysługuje właścicielowi ciała, nieruchomości lub ruchomości, a pozwolenie administracyjne nie stanowi immunitetu”. Do tego dochodzi wymóg jawności danych środowiskowych na żądanie strony oraz prawo do roszczeń zbiorowych, gdy szkoda jest rozproszona. Ten język nie jest poetycki i bardzo dobrze. Jest skuteczny. Zamiast mglistej „walki o klimat” dostajesz ostre narzędzie, które pozwala nazwać trucie po imieniu i wygrać sprawę w imieniu własnych płuc, domu i ogrodu.

Szkolnictwo trzeba siłą wyrwać z gabinetu naczelnego architekta i oddać w ręce architektów dzielnic. Model „bonu za uczniem” to mniej ideologia, a bardziej higiena finansowania, która polega na tym, że pieniądze płyną za wyborem, a nie za budynkiem. Państwowa pozostaje wyłącznie miara wynikowa, nie recepta na metody nauczania. W wersji minimalnej zapis stanowi: „Środki publiczne przeznaczone na edukację pozostają własnością ucznia do czasu ich realizacji w wybranej jednostce; państwowe standardy dotyczą wyłącznie egzaminów zewnętrznych, a nie metod nauczania; jawność wyników jednostek edukacyjnych stanowi warunek udziału w programie”. W jednej ramie prawnej mieszczą się szkoły społeczne i prywatne, kooperatywy rodziców, tutoring i hybrydy online–offline. Politycy zaczną krzyczeć, że „dzieci zostaną same”. Odpowiesz im, że dzieci już dziś są same, gdy trafiają do szkoły, która uczy posłuszeństwa zamiast kompetencji. Bon nie jest cudowną różdżką, ale jest skutecznym sposobem na wyjęcie rąk decydenta z twojej kieszeni i twojej głowy.

Deregulacja zawodów wymaga twardego testu ryzyka, a nie katalogu urzędniczych łask. Zasada jest trywialna, a przez to rewolucyjna: „Licencje dopuszcza się wyłącznie w działalnościach o bezpośrednim, wysokim i prawdopodobnym ryzyku nieodwracalnej szkody dla osoby; pozostałe działalności podlegają reżimowi zgłoszenia i odpowiedzialności cywilnej, wraz z obowiązkiem informacyjnym wobec konsumenta”. Do tej ramy dołącz akademicki, lecz zrozumiały argument. Reputacja, ubezpieczenie i rynek audytów korygują błędy szybciej niż „prawa nabyte” cechu, a jeśli ktoś szkodzi, to płaci, bez świętych krów w postaci spółek komunalnych. Tu szczególnie przyda się wasza bezczelność. Udostępniajcie rejestry sankcji, róbcie mapy partactw i pokazujcie czarno na białym, ile kosztuje klienta „opiekuńczy” monopol pieczątki.

Neutralność wojenna musi mieć zęby, inaczej pozostanie pobożnym życzeniem. Jej operacyjna wersja zaczyna się od precyzyjnej definicji zagrożenia, a kończy na klauzuli wygasania, czyli mechanizmie, który automatycznie kończy działanie prawa po określonym czasie. „Użycie siły przez państwo jest dopuszczalne wyłącznie w odpowiedzi na bezpośrednie i udowodnione zagrożenie życia obywateli; każdy stan wyjątkowy wygasa z mocy prawa po 90 dniach, jeśli nie zostanie ponownie uchwalony większością kwalifikowaną; pobór powszechny jest niedopuszczalny, a służba z założenia ochotnicza, z pełną rekompensatą i świadczeniami”. Politycy lubią mówić, że wojny wygrywa się „charakterem narodu”. Odpowiedz im spokojnie,

Test ryzyka i odpowiedzialności: klucz do deregulacji

Szkolnictwo trzeba wreszcie wyrwać z rąk naczelnego architekta państwa i oddać w zarządzanie lokalnym mistrzom budowlanym. Model „bonu za uczniem” nie jest bowiem ideologicznym manifestem, lecz zwykłą higieną finansowania publicznego. Pieniądze podążają za świadomym wyborem rodzica i ucznia, a nie za adresem budynku, zaś państwu pozostaje jedynie rola egzaminatora sprawdzającego efekty, nie zaś autora jedynej słusznej recepty na nauczanie. W minimalnej wersji zapis ten brzmi następująco: „Środki publiczne przeznaczone na edukację pozostają własnością ucznia do czasu ich realizacji w wybranej przez niego jednostce; państwowe standardy dotyczą wyłącznie egzaminów zewnętrznych, a nie metod nauczania; jawność wyników jednostek edukacyjnych stanowi warunek udziału w programie”. W tak określonej ramie z powodzeniem mieszczą się szkoły społeczne i prywatne, edukacyjne kooperatywy rodziców, tutoring czy dynamiczne hybrydy łączące naukę online i offline. Politycy zaczną krzyczeć, że „dzieci zostaną same”. Odpowiesz im spokojnie, że dzieci już dziś są same, gdy trafiają do fabryki posłuszeństwa zamiast do kuźni kompetencji. Bon nie jest cudowną różdżką, ale skutecznym narzędziem do wyjęcia lepkich rąk decydenta z twojej kieszeni i twojej głowy.

Deregulacja zawodów musi opierać się na chłodnym teście ryzyka, a nie na arbitralnym katalogu urzędniczych łask. Zasada jest tak trywialna, że aż rewolucyjna: „Licencje dopuszcza się wyłącznie w działalnościach o bezpośrednim, wysokim i prawdopodobnym ryzyku nieodwracalnej szkody dla osoby; pozostałe działalności podlegają reżimowi zgłoszenia i odpowiedzialności cywilnej, wraz z obowiązkiem informacyjnym wobec konsumenta”. Do tej prostej ramy warto dołączyć akademicki, lecz w pełni zrozumiały argument. Mechanizmy takie jak reputacja, ubezpieczenie i niezależny rynek audytów korygują błędy znacznie szybciej niż skostniałe „prawa nabyte” cechów i korporacji. A jeśli ktoś wyrządza szkodę, to za nią płaci, bez taryfy ulgowej dla świętych krów w rodzaju spółek komunalnych. Tutaj szczególnie przyda się wasza bezczelność: udostępniajcie publicznie rejestry sankcji, twórzcie mapy partactwa i bezlitośnie pokazujcie, ile naprawdę kosztuje klienta ten rzekomo „opiekuńczy” monopol urzędowej pieczątki.

Neutralność militarna musi mieć zęby, inaczej pozostanie tylko pobożnym życzeniem zapisanym na papierze. Jej wersja operacyjna zaczyna się od precyzyjnej definicji zagrożenia, a kończy na tak zwanej klauzuli zachodzącego słońca, czyli mechanizmie automatycznego wygasania nadzwyczajnych uprawnień. „Użycie siły przez państwo jest dopuszczalne wyłącznie w odpowiedzi na bezpośrednie i udowodnione zagrożenie życia obywateli; każdy stan wyjątkowy wygasa z mocy prawa po 90 dniach, jeśli nie zostanie ponownie uchwalony większością kwalifikowaną; pobór powszechny jest niedopuszczalny, a służba wojskowa z założenia ochotnicza, z pełną rekompensatą i świadczeniami”. Politycy uwielbiają perorować, że wojny wygrywa się „charakterem narodu”. Odpowiedz im, że naród o najsilniejszym charakterze to ten, który nie pozwala kraść ciał swoich obywateli w imię cudzych planów. Tak, to brzmi radykalnie, lecz w istocie jest to jedynie konsekwentne zastosowanie fundamentalnego zakazu inicjowania przemocy do największej z politycznych pokus.

Finansowanie partii politycznych to karuzela cynizmu, którą trzeba zatrzymać, zanim wszyscy zwymiotujemy. Rozwiązaniem jest „mandat material

Neutralność wojenna: koniec z przymusowym poborem

Deregulacja zawodów musi położyć kres katalogowi przywilejów, a rozpocząć się od rzetelnego testu ryzyka. Zasada jest tak trywialna, że aż rewolucyjna: „Licencjonowanie dopuszcza się wyłącznie w działalnościach o bezpośrednim, wysokim i prawdopodobnym ryzyku nieodwracalnej szkody dla osoby; pozostałe podlegają reżimowi zgłoszenia i odpowiedzialności cywilnej, wraz z obowiązkiem informacyjnym”. Do tej ramy należy dołączyć argument, który jest akademicki w treści, lecz zrozumiały w formie. Reputacja, ubezpieczenia i rynek audytów korygują błędy znacznie szybciej niż skostniałe „prawa nabyte” cechu. Jeśli dany podmiot wyrządza szkodę, musi ponieść jej koszty bez stosowania taryfy ulgowej dla podmiotów uprzywilejowanych, takich jak spółki komunalne. W tym miejscu niezbędna jest

stanowczość: należy udostępniać rejestry sankcji, tworzyć mapy nierzetelności i bezlitośnie wykazywać, ile kosztuje klienta „opiekuńczy” monopol certyfikacyjny.

Neutralność wojenna, która jest pozbawiona realnej siły, pozostaje jedynie pobożnym życzeniem. Jej wersja operacyjna zaczyna się od precyzyjnej definicji zagrożenia, a kończy na klauzuli wygasania. Brzmi ona następująco: „Użycie siły przez państwo jest dopuszczalne wyłącznie w odpowiedzi na bezpośrednie i udowodnione zagrożenie życia obywateli; każdy stan wyjątkowy wygasa z mocy prawa po 90 dniach, jeśli nie zostanie ponownie uchwalony większością kwalifikowaną; pobór powszechny jest niedopuszczalny, a służba z założenia ochotnicza, z pełną rekompensatą i świadczeniami”. Politycy chętnie posługują się frazesami, że wojny wygrywa się „charakterem narodu”. Należy im odpowiedzieć, że naród o najsilniejszym charakterze to ten, który nie zawłaszcza ciał obywateli w imię cudzego planu. Samoposiadanie to prawo do własnego ciała – i to z niego wynikają wszystkie wolności, które mają istotne znaczenie. Choć brzmi to radykalnie, stanowi jedynie konsekwentne zastosowanie zakazu inicjowania przemocy wobec największej z politycznych pokus.

Likwidacja subwencji: pełna jawność finansów partyjnych

Neutralność bez zębów to tylko pobożne życzenie, deklaracja bez pokrycia. Jej wersja operacyjna zaczyna się od precyzyjnej definicji zagrożenia, a kończy na klauzuli wygaszającej. „Użycie siły przez państwo jest dopuszczalne wyłącznie w odpowiedzi na bezpośrednie i udowodnione zagrożenie życia jego obywateli; każdy stan wyjątkowy wygasa z mocy prawa po 90 dniach, jeśli nie zostanie ponownie uchwalony większością kwalifikowaną; pobór powszechny jest niedopuszczalny, a służba z założenia ochotnicza, z pełną rekompensatą i świadczeniami”. Gdy politycy zaczną mówić o „charakterze narodu” wygrywającym wojny, odpowiedz im spokojnie, że naród o najsilniejszym charakterze to ten, który nie pozwala kraść ciał swoich obywateli w imię cudzych planów. Brzmi radykalnie? To tylko zastosowanie fundamentalnej zasady – zakazu inicjowania przemocy – do największej z państwowych pokus.

Finansowanie partii politycznych to karuzela, którą trzeba zatrzymać, zanim wszyscy zwymiotujemy od cynizmu. „Mandat materialny” jest regułą prostą jak drut. „Subwencje budżetowe ulegają likwidacji; finansowanie partii i kampanii dopuszczalne jest wyłącznie ze źródeł prywatnych, z pełną jawnością w czasie rzeczywistym i limitami na osobę; darczyńca to nazwisko i NIP, a nie podstawiony słup”. Jeśli ktoś obiecuje złote góry, niech znajdzie na nie wierzycieli pośród wyborców, a nie zakładników w urzędzie skarbowym. Jeżeli uznamy, że jakiś poziom wsparcia publicznego jest konieczny, niech idzie za człowiekiem, a nie za partyjnym logotypem. Niech liczą się podpisy członków, frekwencja w okręgu i

przejrzystość sprawozdań, a nie zasiedzenie na listach. Dopiero wtedy polityk znów zacznie prosić obywatela o wsparcie, zamiast po prostu ściągać z niego haracz.

Skoro prosisz o język dla młodych, dostaniesz gotową instrukcję kampanii ulicznej, która nie wymaga ani pozwoleń, ani dotacji. Pierwsza nić narracji to mem językowy, który wgryza się w codzienną rozmowę. Powtarzaj jak mantrę: „pokaż umowę”, gdy ktoś mówi o „dobru wspólnym”; „czyja to własność?”, gdy słyszysz o „naszych zasobach”; „czy istnieje dobrowolna alternatywa?”, gdy ktoś twierdzi, że „trzeba coś nakazać”. Druga nić to rytuał jawności. Twórzcie publiczne tablice wydatków własnej gminy, szkoły czy uczelni; publikujcie koszt godziny pracy urzędu; pytajcie, ilu urzędników od poboru podpisze kontrakt w „dobrowolnej zasadniczej”. Trzecia nić to Sobota Restytucji. Raz w miesiącu idźcie tam, gdzie państwowe zaniedbanie cuchnie najdotkliwiej – pod dworzec, na składowisko, pod zrujnowaną kamienicę. I czytajcie na głos klauzulę abolicyjną z paragrafem deliktowym, niczym liturgię odczarowującą rzeczywistość. Gdy kamera telefonu staje się twoim medium, polityk słyszy każde słowo wyraźniej, niż gdybyś stał w kolejce do jego gabinetu.

Kampania uliczna i rytuały jawności w praktyce

Poszukując formy działania dla młodych, rozważcie kampanię uliczną, która nie wymaga pozwoleń ani dotacji. Jej pierwszym filarem jest mem językowy – wirus przenikający do codziennych rozmów. Gdy ktoś mówi o „dobru wspólnym”, powtarzajcie jak mantrę: „pokaż umowę”. Gdy słyszycie o „naszych zasobach”, pytajcie: „czyja to dokładnie własność?”. Kiedy pada hasło „trzeba nakazać”, kontrujcie pytaniem: „czy istnieje dobrowolna alternatywa?”. Drugim filarem jest rytuał jawności – twórzcie publiczne tablice wydatków waszej gminy, szkoły czy uczelni. Publikujcie koszt godziny pracy urzędu i pytajcie, ilu urzędników zajmujących się poborem zdecydowałoby się na kontrakt w ramach „dobrowolnej zasadniczej służby”. Trzeci filar to Sobota Restytucji: raz w miesiącu idźcie tam, gdzie zaniedbanie państwa jest najbardziej rażące – pod dworzec, składowisko odpadów czy zrujnowaną kamienicę – i czytajcie na głos klauzulę abolicyjną niczym liturgię odczarowującą rzeczywistość. Pamiętajcie, że kamera w telefonie to potężne medium, a polityk usłyszy wasz głos wyraźniej niż głos osoby z kolejki do jego gabinetu.

Nie zapominajcie przy tym o estetyce, gdyż ruch ten musi cechować się pięknem. Estetyka potrafi zmienić system wartości skuteczniej niż najobszerniejsza broszura. Twórzcie więc plakaty, które wyglądają jak okładki płyt, a nie urzędowe rozporządzenia. Piszcie manifesty brzmiące jak teksty piosenek, a nie sprawozdania z posiedzeń komisji. Mówcie do swoich rówieśników językiem dobrowolnych zobowiązań, gdyż to jedyna waluta, która zachowuje jeszcze jakąkolwiek wartość. Zdanie: „Zrobimy to wspólnie, jeśli chcesz; jeśli nie – nie szkodzi, nie wyegzekwujemy od ciebie na to środków finansowych”, ma moc odbudowywania zaufania, której nie posiada żadna ustawa.

Politycy nie urodzili się anachroniczni – stali się tacy, ponieważ system oferuje za to gratyfikację. Kiedy zmienicie bodźce, oni zmienią maski. W każdej z tych metod ukryta jest bezwzględna logika: odwrócenie ciężaru dowodu, ujawnienie przepływów pieniężnych, usunięcie progu wejścia oraz wzmocnienie odpowiedzialności ex post. Nie jest to mistyka, lecz czysta mechanika zmiany. Jeśli termin „mechanika" brzmi zbyt technokratycznie, dodajcie do niego zasadę, która powinna widnieć nad wejściem do każdego parlamentu: „Nie masz prawa czynić na mocy ustawy tego, czego wstydziłbyś się dokonać osobiście".

Na koniec zostawiam wam krótką scenę – obywatelski performans niewymagający nakładów finansowych. Stańcie na kampusie z tablicą, na której wielkimi literami zapiszecie pytanie: „Kto jest właścicielem twojego ciała dziś o godzinie 17:00?". Pod spodem wypiszcie kredą trzy możliwe odpowiedzi: „ja", „państwo", „oni". Pozwólcie przechodniom podchodzić i stawiać znaki, bez zbędnych wyjaśnień. Gdy skończą, wystarczy, że odczytacie wynik na głos, a potem dodacie jedno zdanie: „Samoposiadanie stanowi prawo do własnego ciała; z niego wynikają wszystkie wolności, które mają rzeczywiste znaczenie". A potem zgaście światło. Nic nie budzi tak skutecznie, jak nagła, krótka ciemność.

Libertarianizm Rothbarda vs. liberalizm i anarchizm

Libertarianizm Rothbarda jest notorycznie wrzucany do dwóch wygodnych worków: „liberalizmu" przez tych, którzy chcą go oswoić, oraz „anarchizmu" przez tych, którzy pragną go zdyskredytować. Obie etykiety to przejaw intelektualnego lenistwa. Pierwsza pozwala traktować libertarian jako młodszych, nieco bardziej radykalnych kuzynów klasycznego liberalizmu, druga zaś – jako nieodpowiedzialnych fantastów śniących o chaosie. Problem w tym, że myśl Rothbarda rozsadza oba te worki od środka, demaskując ich wewnętrzne sprzeczności.

Klasyczny liberalizm, od Johna Locke'a po Adama Smitha, budował swoją wizję na fundamencie państwa minimalnego. Władza miała być jak nocny stróż: chronić własność, zapewniać bezpieczeństwo i poza tym zostawić obywatela w spokoju. Rothbard uznał tę wizję za niebezpiecznie naiwną i logicznie niespójną. Jeżeli bowiem przyznamy jednej instytucji monopol na legalne stosowanie przemocy, to prędzej czy później zacznie ona z tego monopolu korzystać dla własnych celów. Państwo-nocny stróż nieuchronnie przeistacza się w państwo-ochroniarza, potem w państwo-dyrektora, a na końcu w państwo-pana. Dlatego libertarianizm nie jest jedynie zradykalizowaną wersją liberalizmu; jest jego bezlitosną krytyką. To projekt, który stawia sprawę jasno: nie można bronić wolności, jednocześnie pozwalając jednej instytucji stać ponad prawem.

Z drugiej strony mamy anarchizm, przynajmniej w jego tradycyjnym, europejskim wydaniu. Myśliciele tacy jak Proudhon czy Bakunin postrzegali własność prywatną jako pierwotne źródło nierówności i opresji. Rothbard dokonał tu całkowitej wolty: dla niego własność prywatna jest jedyną realną gwarancją wolności. Bez nienaruszalnej własności nie ma niezależności, a bez niezależności wolność słowa czy zrzeszania się

staje się pustym frazesem, zależnym od łaski władcy. Anarchizm społeczny poszukiwał wspólnoty bez własności, podczas gdy libertarianizm widzi prawdziwą wspólnotę jako sieć dobrowolnych umów opartych na własności. Dlatego lewicowi krytycy zarzucają mu, że jest „anarchistą tylko z nazwy". Dla Rothbarda była to jednak anarchia prawa, a nie bezprawia; anarchia jako brak monopolu, nie jako brak reguł.

Mamy tu więc do czynienia z fundamentalnym napięciem filozoficznym. Liberalizm mówi: „państwo jest konieczne, ale ograniczmy je". Anarchizm społeczny twierdzi: „państwo jest zbędne, wystarczy nam wspólnota". Libertarianizm Rothbarda rzuca im obu wyzwanie, mówiąc: „państwo jest z definicji agresorem, a prawdziwa, zdrowa wspólnota wyłania się organicznie z dobrowolnych kontraktów i nienaruszalnego prawa własności".

Dla polskiego czytelnika te rozróżnienia nie są czysto akademicką gimnastyką. Klasyczny liberalizm przywodzi na myśl debatę o reformach Balcerowicza: ograniczyć państwo, ale za wszelką cenę utrzymać jego monopol na prawo i przemoc. Anarchizm kojarzy się z utopijnymi eksperymentami, które nad Wisłą nigdy nie zapuściły głębszych korzeni. Libertarianizm natomiast uderza w czuły nerw codziennego doświadczenia. Gdy obywatel styka się z państwem, nie spotyka nocnego stróża, lecz agresora: urząd skarbowy, który bezprawnie zajmuje konto, celnika, który konfiskuje prywatną paczkę, czy policjanta, który może go zatrzymać bez powodu. To doświadczenie ma gorzki smak państwowej przemocy.

Filozoficznym jądrem tej myśli jest aksjomat samoposiadania. Locke argumentował, że własność rodzi się z pracy, którą

Romantyzm i tradycja chłopska: polskie korzenie wolności

Rothbardowska idea wolności – radykalnej, abolicjonistycznej i nieznoszącej kompromisów – nie wzięła się znikąd. Choć wyrosła na amerykańskiej glebie, gdzie Deklaracja niepodległości obiecywała „życie, wolność i dążenie do szczęścia", dla Polaka jej tezy brzmią zaskakująco swojsko. Czyż bowiem nie ta sama nuta pobrzmiewa w romantycznym micie „za wolność naszą i waszą"? Czy nie ten sam gniew wyrażała chłopska nieufność wobec dworu i władzy, zaklęta w przysłowiach „Pańskie oko konia tuczy" albo „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie"?

Polska kultura od wieków jest rozdarta między fascynacją silnym państwem a głęboką podejrzliwością wobec jego intencji. Z jednej strony mamy sienkiewiczowskiego wodza i mesjanistyczne wizje Mickiewicza, gloryfikujące heroizm narodowy i polityczną ofiarę. Z drugiej zaś tkwi nieufność chłopa wobec każdego urzędnika, księdza czy starosty, który przychodził z nakazem, podatkiem albo poborem. Libertarianizm Rothbarda daje precyzyjny język do opisania tej dwoistości, nazywając państwo agresorem, który zawsze

twierdzi, że działa „dla wspólnego dobra”, podczas gdy w istocie ograbia jednostkę z życia, wolności i własności.

Polski romantyzm idealizował bunt w imię kolektywu. Konrad w „Dziadach” rzuca wyzwanie carskiemu imperium, a jego krzyk „Nazywam się Milijon – bo za miliony kocham i cierpię katusze” brzmi jak wezwanie do walki w imię wspólnoty. Libertarianizm odwraca ten akcent. Nie walczysz za miliony, lecz za siebie, bo tylko wtedy, gdy każdy obroni własną wolność, wolność wszystkich stanie się faktem. To różnica fundamentalna. Polak, wychowany w micie zbiorowego cierpienia, zbyt łatwo daje się wciągnąć w narrację państwa: oddaj życie za ojczyznę, poświęć się dla narodu, zgódź się na podatki, bo to cena wolności.

Libertarianizm uderza w tę patetyczną strunę i mówi twardo: „Nie. Twoje życie nie jest walutą, którą państwo może wymieniać na swoje polityczne projekty”.

Jednak to nie romantyzm jest tu najciekawszym punktem odniesienia. Jeszcze silniej libertarianizm rezonuje z mentalnością chłopską, z tą niepisaną tradycją oporu wobec władzy. To chłop wiedział instynktownie, że każda nowa władza, czy to carska, czy komunistyczna, przyjdzie z tym samym zestawem: poborem, podatkiem i przymusem. To on uczył swoje dzieci, że władzy się nie ufa, a państwowe „darmowe” zawsze okaże się piekielnie drogie. Rothbard, pisząc o państwie jako pasożycie żyjącym na plecach obywateli, mógłby bez wahania zacytować polskie wiejskie przysłowie: „Kto państwu służy, ten się własnej krzywdy dorobi”.

Współczesna Polska wciąż nosi ślady tej ambiwalencji. Z jednej strony kult silnego państwa powrócił w retoryce bezpieczeństwa narodowego, opieki socjalnej i „tarcz antyinflacyjnych”. Z drugiej, każdy Polak, który wypełnia PIT, rejestruje firmę czy odbiera pismo z urzędu, wie, że to doświadczenie bardziej upokarza niż chroni. I właśnie w tej codziennej, namacalnej frustracji libertarianizm odnajduje swój najgłębszy rezonans kulturowy.

Można zatem powiedzieć, że libertarianizm jest współczesną reinterpretacją polskiego mitu wolności. Nie wolności mesjanicznej, za którą umiera się na barykadzie, lecz wolności egzystencjalnej, w której broni

Teatr partiokracji: fasadowość współczesnej polityki

Polska demokracja od dawna nie jest rządami obywateli, lecz partii. „Partiokracja” – słowo, które brzmi jak nazwa choroby – stanowi w istocie trafną diagnozę ustrojową. Partie, zamiast być narzędziami reprezentacji, przekształciły się w korporacje dzierżawiące państwo. Ich jedynym towarem jest władza, klientelą są wyborcy traktowani jak rynek zbytu, a główną walutą – obietnice finansowane z przyszłych podatków. Właśnie w tej rzeczywistości libertarianizm Rothbarda brzmi jak bluźniercza, ale konieczna prawda: państwo nie jest dobrem wspólnym, lecz gangiem zorganizowanym na skalę narodową.

Spójrzmy, jak działa ten mechanizm. Partie rządzące, niezależnie od barw – czerwone, zielone czy biało-czerwone – sięgają po ten sam zestaw instrumentów. Najpierw tworzą problem, a potem sprzedają jego rzekome rozwiązanie. Podnoszą podatki, by następnie rozdawać świadczenia, które buńczucznie nazywają „tarczą ochronną". Ograniczają wolność gospodarczą, by potem chwalić się dopłatami i dotacjami. Zwiększają biurokrację, a potem zatrudniają tysiące „urzędników pomocowych", by ratować obywatela przed konsekwencjami własnych regulacji. Państwo jest jak piroman, który podpala dom, po czym zjawia się w kasku strażaka i domaga się medalu za ratunek.

Libertarianie mówią wprost, że ten cyrk to nie demokracja, lecz teatr przymusu. Głosowanie raz na cztery lata nie jest aktem wolności, a jedynie rytuałem legitymizującym władzę. Rothbard ująłby to prościej: „Jeśli bandyci pozwolą ci raz na kilka lat wybrać, kto będzie tobą rządził, to nie znaczy, że przestali być bandytami". W Polsce szczególnie dotkliwie widzimy, jak ten rytuał demoralizuje. Partie kupują wyborców transferami, a wyborcy uczą się myśleć o państwie jak o bankomacie. Tyle że ten bankomat nie ma własnych pieniędzy – ma wyłącznie twoje.

Socjologicznie partiokracja jest formą wewnętrznej kolonizacji. Partie kolonizują wszystkie sfery życia społecznego: od gospodarki po kulturę. Media publiczne stają się tubą propagandową, szkoły – narzędziem indoktrynacji, a spółki Skarbu Państwa – bankomatami dla „swoich". To nie jest władza neutralna; to kultura pasożytnictwa, w której polityk żeruje na obywatelu, a obywatel uczy się żerować na sąsiedzie. W ten sposób niszczy się solidarność spontaniczną, tę rodzącą się w rodzinie i sąsiedztwie, zastępując ją solidarnością wymuszoną, opartą na podatku i ustawie.

Libertarianizm proponuje inne spojrzenie. „Solidarność" nie polega na tym, że państwo zabiera jednym, by dać drugim. Prawdziwa solidarność to dobrowolna pomoc, miłosierdzie płynące z wyboru, z sumienia i z poczucia odpowiedzialności. Państwo nie ma moralności; jeśli rozdaje, to tylko po to, by kupić głosy, a jeśli zabiera, to dlatego, że może. To, co partie nazywają „wspólnym dobrem", jest w istocie wspólnym rabunkiem usankcjonowanym przez większość.

Polscy politycy uwielbiają powoływać się na historię, na romantyczne powstania i etos „Solidarności". W praktyce ich codzienność jest banalna i przewidywalna: rozdają stanowiska swoim, uchwalają podatki dla wszystkich i udają, że reprezentują naród. Prawda jest taka, że partie reprezentują wyłącznie siebie. Obywatele są dla nich zaledwie paliwem, które jest niezbędne, by utrzymać tę maszynę przy życiu.

Dlatego libertariańska krytyka państwa jest w Polsce nie tylko intelektualnym eksperymentem, ale przede wszystkim aktem demaskacji. To głos, który mówi, że cesarz jest nagi. Partie nie są ojcami narodu, lecz jego pasożytami. Demokracja nie jest świętem wolności, lecz festynem, na którym kupuje się wyborców „kiełbasą wyborczą". A państwo opiekuńcze nie jest ochroną słabych, lecz narzędziem kontroli i klientelizmu.

Tu właśnie pojawia się pytanie do młodych: czy chcecie całe życie oglądać ten sam teatrzyk, w którym ci sami aktorzy grają w coraz to nowych kostiumach? Czy uwierzycie w bajkę, że partiokracja się zmieni, jeśli tylko na scenę wpuści się nową trupę? A może odważycie się powiedzieć: „Nie chcemy teatru. Chcemy życia bez reżysera, który za każdy ruch żąda biletu wstępu w postaci podatku”?

Państwo opiekuńcze: fabryka zależności i klientelizmu

Jeśli partiokracja jest teatrem, to państwo opiekuńcze stanowi jego scenografię. To starannie wykonana dekoracja z dykty, która ma zasłonić prawdę o pustce za kulisami i trwającej na zapleczu grabieży. W Polsce ta konstrukcja przybrała formę karykaturalną, sprzedawaną pod chwytliwą nazwą „socjalnego patriotyzmu” jako rzekoma troska o rodzinę i narodowy projekt sprawiedliwości. W istocie jest to jednak projekt ujarzmienia, precyzyjnie zaprojektowana fabryka zależności, w której obywatel zostaje zdegradowany do roli klienta państwa, zamiast pozostać wolnym człowiekiem.

Libertarianie, od Murraya Rothbarda po współczesnych krytyków etatyzmu, bezlitośnie obnażają mechanizm tego oszustwa. Państwo opiekuńcze finansuje swoje „dary” nie z magicznego skarbca, lecz z rabunku dokonywanego na trzy sposoby: przez podatki, dług publiczny i inflację. „Rząd nie ma własnych pieniędzy, ma tylko nasze” – mówiła Margaret Thatcher. Libertarianie dodaliby, że nie tylko nie ma, ale też zabiera je siłą, ubierając ten przymus w szaty troski. 800+, trzynasta emerytura, dopłaty do węgla i gazu – każda z tych inicjatyw brzmi jak prezent, a jest jedynie brutalną redystrybucją z kieszeni jednych do kieszeni drugich, z sowitą prowizją dla polityków, którzy rozdają łupy w świetle kamer.

Problem w tym, że system nie tylko rabuje, ale i demoralizuje. Rothbard pisał o „dodatnim efekcie podaży” – zjawisku, w którym im więcej państwo rozdaje, tym więcej ludzi racjonalnie rezygnuje z pracy i samodzielności. Po co podejmować trud, skoro łatwiej żyć z zasiłku? Dlaczego inwestować, skoro państwo i tak zabierze zyski podatkiem, by potem oddać ich część w formie „programu wsparcia”? W Polsce obserwujemy ten eksperyment na żywym organizmie społecznym: rośnie armia beneficjentów świadczeń, puchną deficyty budżetowe, a poczucie odpowiedzialności za własne życie zanika.

Państwo opiekuńcze metodycznie niszczy również solidarność naturalną. Niegdyś pomoc sąsiedzka, rodzinna czy parafialna była gestem dobrowolnym, aktem wynikającym z autentycznej więzi międzyludzkiej. Dziś zastąpiła ją zbiurokratyzowana procedura: „wypełnij wniosek, a otrzymasz świadczenie”. Solidarność przestała być cnotą moralną, a stała się pozycją w budżecie i numerkiem w systemie. To, co było źródłem dumy i wspólnoty, zdegradowano do rangi administracyjnej transakcji. Zamiast kultury wzajemnej pomocy mamy kulturę klientelizmu, w której każdy patrzy, co jeszcze da się wyrwać z państwowego tortu.

„Socjalny patriotyzm” to już szczególnie perfidna forma tej manipulacji. Politycy sprzedają iluzję, że kolejne transfery są dowodem troski o naród i jego przyszłość. Ale jaki naród buduje się na długu, który spłacać będą jeszcze nienarodzone pokolenia? Jaka przyszłość wyrasta z przekonania, że to państwo rozwiąże każdy problem, od ceny opału po wychowanie dzieci? Patriotyzm, który nie opiera się na wolności, jest tylko maską dla zniewolenia. To sprytnie opakowana redystrybucja, w której politycy kupują lojalność obywateli, tak jak feudał kupował chłopa garnkiem zboża.

Libertariańska odpowiedź jest jednoznaczna: pomoc potrzebującym musi być dobrowolna i prywatna. Rothbard wskazywał na przykład Kościoła mormonów, który zorganizował niezwykle skuteczny system opieki społecznej bez uciekania się do przymusu podatkowego.

Aksjomat samoposiadania: nienaruszalny fundament wolności

Libertarianizm Rothbarda, choć zrodzony w Ameryce lat sześćdziesiątych, w Polsce uderza w zupełnie inne struny. Młodzi ludzie słyszą go nie w sterylnych salach akademickich, lecz w trzasku zamykanych drzwi urzędu pracy, w absurdzie wszechobecnej „pieczątki”, bez której nie otworzysz budki z gazetami ani salonu fryzjerskiego. Polska recepcja tej myśli to opowieść zawieszona między euforią lat dziewięćdziesiątych, gdy obiecano wolny rynek, a gorzkim rozczarowaniem, gdy po dekadach okazał się on jedynie polem bitwy dla partyjnych nominatów.

Dla Rothbarda państwo było największym, zinstytucjonalizowanym agresorem – strukturalnym złodziejem, który pod płaszczykiem prawa sięga do kieszeni obywatela i nazywa to podatkiem. W polskiej rzeczywistości ta diagnoza brzmi aż nazbyt znajomo. Wystarczy przeanalizować konstrukcję podatków ukrytych w cenie paliwa, danin przemianowanych na „opłaty”, by ominąć konstytucyjne progi, czy cyklicznie powracające plany powszechnego poboru. Państwo zapewnia, że to „dla dobra wspólnego”, lecz w tle pobrzmiewa echo Rothbarda: „dobro wspólne to najczęściej cudza własność w cudzych rękach”.

Strategia wolności w jego ujęciu nie polegała na naiwnym oczekiwaniu, aż polityczne elity doznają olśnienia. Opierała się na nieustannym artykułowaniu zniesienia przymusu jako ostatecznego celu, nawet jeśli wydaje się on utopijnie odległy. To fundamentalna różnica. Polityczny oportunista powie: „musimy iść małymi krokami, społeczeństwo nie jest gotowe”. Libertarianin odpowie: „małe kroki – owszem, ale nigdy w przeciwnym kierunku”.

Krytyka państwa opiekuńczego w libertariańskiej retoryce bywa brutalna, lecz jej socjologiczna treść odsłania głębszy mechanizm. Władza, która karmi, zawsze rezerwuje sobie prawo do decydowania, kogo nakarmić, a kogo pozostawić z pustym talerzem. W Polsce system zasiłków stał się potężnym narzędziem

politycznej mobilizacji, gdzie rządząca partia obiecuje świadczenia finansowane nie z własnych zasobów, lecz z długu zaciąganego na koszt przyszłych pokoleń. To dlatego młodzi ludzie czują, że ich życie obciążone jest hipoteką na cudze emerytury. Libertarianizm podsuwa im inną narrację: pomoc jest szlachetna, ale tylko gdy jest dobrowolna, pozbawiona fałszywej solidarności, która w praktyce okazuje się przymusem.

Rothbard i jego następcy powtarzają, że fundamentem wszystkiego jest samoposiadanie, czyli nienaruszalne prawo człowieka do własnego ciała i owoców swojej pracy. Bez tego „wolność słowa" staje się farsą, bo mikrofon i tak należy do kogoś innego; bez tego „wolność zgromadzeń" jest groteską, bo place i ulice podlegają zarządom magistratów. W Polsce samoposiadanie ma dodatkowy, dotkliwy wymiar. Pokolenie pamiętające przymusowy pobór wie, że państwo zawsze trzyma w zanadrzu prawo do „wypożyczenia" obywatela na czas nieokreślony. Młody człowiek, słysząc o konieczności przygotowań do „obrony ojczyzny", nie pyta już, czy to słuszne, lecz: „czy ktoś pytał mnie o zgodę?".

Pojawia się jednak najpoważniejszy zarzut: czy libertarianizm nie jest w Polsce manifestem wyobcowania? W kraju, którego tożsamość zbudowano na micie wspólnoty i solidarności, postulaty radykalnego ograniczenia państwa brzmią jak groźba rozpadu więzi społecznych.

Kryzys państwa napędza rozwój ruchu libertariańskiego

Gdy próbujemy przewidzieć przyszłość libertarianizmu w Polsce, najprostsza odpowiedź to wzruszenie ramion. Margines, garstka ekscentryków, internetowy folklor – tak właśnie opisują go politycy, dla których jest to dziwactwo niepasujące do „poważnej" sceny publicznej. Sceny, na której dyskutuje się wyłącznie o nowych podatkach, kolejnych świadczeniach i o tym, jak jeszcze głębiej państwo może wślizgnąć się w życie obywateli. Historia bywa jednak złośliwa wobec takich prognoz, a idee, które dziś wyglądają na utopijne, jutro często stają się jedyną odpowiedzią na kryzys, którego nikt nie przewidział.

Libertarianizm w Polsce stoi przed fundamentalnym paradoksem. Im hojniej państwo rozdaje pieniądze, tym więcej obywateli zaczyna dostrzegać, że ktoś musi za tę hojność zapłacić. Im głośniej politycy mówią o „socjalnym patriotyzmie", tym dotkliwiej młodzi ludzie – zwłaszcza ci, którzy próbują założyć firmę, znaleźć mieszkanie czy zbudować życie na własnych warunkach – rozumieją, że rachunek nie jest metaforą. Jest realnym długiem, który obciąża ich przyszłość niczym kamień młyński.

Jego przyszłość zależy od dwóch czynników. Pierwszym jest edukacja, ale nie ta akademicka, lecz codzienna, brutalnie demaskująca mechanizmy państwa. Każdy, kto zderzył się z absurdem polskiej biurokracji, kto widział, jak urzędnicza samowola blokuje przedsiębiorczość, kto wreszcie zrozumiał, że

inflacja to po prostu ukryty podatek od oszczędności, staje się podatny na libertariańską narrację. Tak właśnie rośnie ruch – nie przez ideologiczne kazania, lecz przez osobiste, bolesne doświadczenie.

Drugim czynnikiem jest kryzys, którego Polska nie uniknie. Rosnący dług publiczny, starzejące się społeczeństwo i system emerytalny przypominający piramidę finansową to bomby z opóźnionym zapłonem. Kiedy w końcu wybuchną, partie establishmentu nie będą miały nic do zaoferowania poza kolejnymi cięciami albo kolejnymi podatkami. Wtedy libertarianizm, dziś wyśmiewany jako polityczna herezja, może okazać się jedyną alternatywą, która nie polega na sprawiedliwym dzieleniu biedy, lecz na uwolnieniu ludzkiej energii do tworzenia bogactwa.

Czy jednak libertarianizm w Polsce pozostanie herezją bez wiernych, czy stanie się religią przyszłości? O tym zadecyduje kultura. Polska mentalność jest bowiem schizofrenicznie rozdarta. Z jednej strony mamy tęsknotę za silnym państwem, od Piłsudskiego po współczesnych demiurgów „centralnych planów inwestycyjnych". Z drugiej – głęboką, plebejską nieufność wobec każdej władzy. Libertarianizm musi nauczyć się przekuwać tę nieufność w pozytywną wizję: wolności nie jako chaosu, lecz jako wspólnoty opartej na dobrowolności i nienaruszalnej własności.

Dla młodych Polaków libertarianizm może stać się ruchem autentycznie emancypacyjnym. Starsze pokolenia wciąż żyją w micie państwa-opiekuna, które, choć skompromitowane tysiącem afer, wciąż jawi się jako zło konieczne. Młodzi, wychowani w epoce globalnych sieci i swobodnego przepływu informacji, mniej wierzą w granice, a bardziej we własną sprawczość. To oni mogą wypchnąć libertarianizm z intelektualnej niszy w kierunku realnego prądu kulturowego.

Czy stanie się masową siłą polityczną? Prawdopodobnie nie, gdyż partiokracja jest zbyt skuteczna w tłumieniu wszelkiej ideowej konkurencji. Ale libertarianizm nie musi być partią, by zmieniać rzeczywistość. Może być nurtem kulturowym, filozofią życia, społecznym językiem krytyki. Już dziś w debatach o edukacji domowej, prywatnej służbie zdrowia czy podatkach dla młodych przedsiębiorców pobrzmiewają libertariańskie nuty, nawet jeśli nikt nie używa tej etykiety.

Przyszłość libertarianizmu w Polsce to nie wielki szturm na parlament, lecz powolne, kapilarne przenikanie do świadomości, że państwo nie jest ani ojcem, ani matką. Jest raczej obcym opiekunem, który w zamian za iluzję bezpieczeństwa domaga się bezwzględnego posłuszeństwa. I że prawdziwa wolność nie przyjdzie z żadnej ustawy, lecz z głębokiego przekonania, że człowiek należy do siebie. Samoposiadanie to prawo do własnego ciała i umysłu, z którego wynikają wszystkie inne wolności.

„Historia ludzkości – pisały Listy Katona – jest odwiecznym konfliktem między władzą a wolnością". Polska nie jest tu żadnym wyjątkiem. Pytanie brzmi: po której stronie zdecydują się stanąć młodzi, gdy nadejdzie moment wyboru? Czy wybiorą historię, którą piszą dla nich partie, czy tę, którą mogą napisać sami?

Etyczny imperatyw: moralny fundament czynu politycznego

Młodzi! To do was kieruję te słowa, bo starsi – znużeni, pogodzeni, przyzwyczajeni – już dawno scedowali na państwo prawo do decydowania o ich życiu. To w waszych rękach spoczywa przyszłość, choć politycy na razie wmawiają wam, że jesteście zaledwie „beneficjentami systemu". Karmią was stypendiami, dotacjami, „bonami na start" i darmowym TikTokiem w państwowej sieci. W zamian macie siedzieć cicho i bić brawo, kiedy dorzucają wam kolejną jałmużnę, hojnie sypniętą z waszych własnych przyszłych kieszeni.

Libertarianizm, którego manifest kreślił Rothbard, nie jest ideologią dla salonowych dysput. To gramatyka buntu, herezja wymierzona w święte dogmaty partiokracji. Mówi wam coś radykalnego: nie jesteście klientami państwa – jesteście właścicielami samych siebie. Nikt – ani premier, ani urzędnik, ani profesor z katedry ekonomii – nie ma prawa zmuszać was do życia wbrew waszej woli.

Państwo w Polsce sprzedaje wam dwie iluzje: opieki i wspólnoty. Pierwsza szepcze: „Damy wam 800+, mieszkanie na kredyt, ochronę przed inflacją". Druga grzmi: „Robimy to dla narodu, dla dobra wspólnego, dla solidarności". Prawda jest prostsza i bardziej brutalna. Zabierają wam pieniądze, a potem oddają ich część z wielką fanfarą, każąc dziękować za łaskę. Solidarność, którą państwo wam oferuje, jest solidarnością wymuszoną. To tak jakby złodziej w autobusie, po obrabowaniu pasażerów, kupił im wspólny bilet i ogłosił, że czyni to dla dobra publicznego transportu.

Rothbard pisał: „Podatki to zalegalizowane złodziejstwo, a pobór to niewolnictwo na wielką skalę". Brzmi radykalnie? Owszem. Ale rozejrzyjcie się wokół i sprawdźcie, czy wasze życie nie jest właśnie tak skonstruowane. Macie oddawać połowę pensji fiskusowi, bo „państwo wie lepiej", jak ją wydać. Macie wierzyć, że kredyt hipoteczny z państwową dopłatą to dar, a nie pętla na szyi. Macie zgadzać się, że gdy nadejdzie wojna, wasze ciała są już zakontraktowane dla armii. Czy to jest wolność? Czy to jest wspólnota, którą sami byście wybrali?

Libertarianizm nie jest wezwaniem do chaosu ani anarchią pustki. To wizja wspólnoty dobrowolnej, opartej na własności i osobistej odpowiedzialności. To przekonanie, że ciepła zupa od sąsiadki jest warta więcej niż tysiąc urzędniczych stempli w MOPS-ie. Że wolny rynek tworzy więcej miejsc pracy niż wszystkie ministerialne programy razem wzięte. Że wolność słowa nie istnieje bez wolności posiadania drukarni, sali wykładowej czy platformy internetowej, czyli bez nienaruszalnej własności prywatnej.

Polska, jeśli chce wyjść z błędnego koła zadłużenia, biurokracji i partyjnego cynizmu, musi wreszcie usłyszeć to bluźnierstwo. Państwo nie jest twoim przyjacielem. Państwo jest agresorem.

Nie wierzcie politykom, którzy mówią, że „bez nas zginiecie”. To oni żyją z was, nie wy z nich. Nie wierzcie profesorom, którzy tłumaczą, że redystrybucja to moralny obowiązek. Moralny obowiązek rodzi się z serca, a nie z ustawy. Nie wierzcie mediom, które każdą krytykę państwa nazywają „ekstremizmem”. Prawdziwym ekstremizmem jest system, w którym połowę waszego życia i pieniędzy oddajecie w zamian za to

> Czy jednak walka o wolność, tak zaciekle broniona, nie okaże się ostatecznie walką o własną klatkę? Może w świecie pozbawionym państwowego przymusu odkryjemy, że najtrudniejsze do pokonania są kajdany, które sami sobie nałożyliśmy? A może właśnie wtedy, uwolnieni od zewnętrznych ograniczeń, wreszcie nauczymy się prawdziwie latać?

Inspiracje

[1] **"For a New Liberty: The Libertarian Manifesto"** Murray N. Rothbard

1973 | Macmillan Publishers

Amerykański ekonomista szkoły austriackiej, historyk i teoretyk polityki. Był centralną postacią amerykańskiego ruchu libertariańskiego XX wieku i założycielem anarchokapitalizmu. Do jego najważniejszych dzieł należy „Człowiek, gospodarka i państwo”. Wykładał na Uniwersytecie Nevady w Las Vegas.

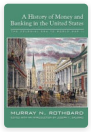
*American economist of the Austrian School, historian, and political theorist. He was a central figure in the 20th-century American libertarian movement and a founder of anarcho-capitalism. Notable works include **Man, Economy, and State**. He taught at University of Nevada, Las Vegas.*

University of Nevada, Las Vegas

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:



[1] **"A History of Money and Banking in the United States"**

Murray N. Rothbard

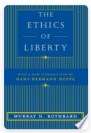
2002 | Ludwig Von Mises Institute | ISBN: 9780945466338



[2] **"America's Great Depression"**

Murray N. Rothbard

2008 | www.bnpublishing.com | ISBN: 9781607960652



[3] **"The Ethics of Liberty"**

Murray N. Rothbard

1998 | NYU Press | ISBN: 9780814775066

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[4] **"Two Treatises of Government"**

John Locke

2021 | Independently Published | ISBN: 9798508843922

Google Scholar



[5] **"An Inquiry into the Nature and Causes of the Wealth of Nations"**

Adam Smith

2020 | W. Strahan and T. Cadell, London | ISBN: 9798583173020

Google Scholar



[6] **"The Theory of Moral Sentiments"**

Adam Smith

2023 | BoD – Books on Demand | ISBN: 9783368934194

Google Scholar



[7] **"What Is Property? Or, an Inquiry into the Principle of Right and Government"**

Pierre-Joseph Proudhon

2017 | No specific publisher found | ISBN: 9781943115235

Google Scholar



[8] **"Groundwork of the Metaphysics of Morals"**

Immanuel Kant

2025 | Benediction Classics | ISBN: 9781789434453

Google Scholar



[9] **"With Fire and Sword"**

Henryk Sienkiewicz

2021 | Bentley | ISBN: 9781667167848



[10] "Statecraft: Strategies for a Changing World"

Margaret Thatcher

2002 | HarperCollins Publishers | ISBN: 9780007107520



[11] "The Law"

Frédéric Bastiat

2025 | Lebooks Editora | ISBN: 9788583864806

Google Scholar

[12] "System of Economic Contradictions, or The Philosophy of Poverty"

Pierre-Joseph Proudhon

1846 | No specific publisher found

Google Scholar

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Self-Ownership, World Ownership, and Equality: Defending Just Initial Acquisition"

Christopher Matthew Sciabarra

2018 | Journal of Private Enterprise

[2] "The state and aggression: a philosophical-historical analysis"

MG Saliba

2017 | Journal of Liberty and Society

[3] "Self-Ownership and Despotism: Locke on Property in the Person, Divine Dominium of Human Life, and Rights-Forfeiture"

Johan Olsthoorn

2020 | Social Philosophy and Policy

Google Scholar

[4] "Order No.10,000 from the Pilsudski Institute's collection - the order to the Battle of Warsaw, from August 10th, 1920"

Józef Piłsudski

1920

[5] "Ulga abolicyjna – istota, zmiany zakresu zastosowania i ich konsekwencje"

Dominika Kuberska

2021 | BISP

[6] **"An Argument, Shewing that a Standing Army is Inconsistent with a Free Government"**

John Trenchard, Walter Moyle

1697

[7] **"A Short History of Standing Armies in England"**

John Trenchard, Walter Moyle

1698

Artykuły pokrewne (Google Scholar):

[8] **"Left and Right: The Prospects for Liberty"**

Murray N. Rothbard

1965 | Left and Right, A Journal of Libertarian Thought

[9] **"Toward a Strategy for Libertarian Social Change"**

Murray N. Rothbard

1977

[10] **"Concepts of the Role of Intellectuals in Social Change Toward Laissez Faire"**

Murray N. Rothbard

1990 | The Journal of Libertarian Studies

APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: be469f79-0f01-4714-be3f-308f47890eb6